

Maria Bielicka

Niedzielne spotkania

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 274-275

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NIEDZIELNE SPOTKANIA

Maria BIELICKA (Wielka Brytania)

Poznałam Stefę zaraz po przyjeździe do Anglii w 1947 r., gdy rozpoczęłam po raz drugi w życiu studia ekonomiczne na Polish University College. Pełniła tam funkcję sekretarki College'u.

Uroczą, uśmiechniętą z piękną koroną czarnych warkoczy upiętych dookoła głowy, udzielała nam wszelkich informacji o tym nowym dla nas, obcym świecie.

Ona, zasiedziała już przez lata wojenne w Londynie, pomagała nam uchodźcom, którzy przywędrowali do Anglii poprzez przeróżne wyboiste szlaki, wdrożyć się w rutynę normalnego życia.

Na parę lat straciłam Stefę z oczu, gdy skończyłam studia.

Spotkałyśmy się znowu, gdy Kossowscy zamieszkali przy Redeliffe Road na Kensingtonie w pobliżu, gdzie wówczas mieszkałam z siostrą Wandą Zakliską i jej rodziną.

Stałymi punktami spotkań były — polski sklep żywnościowy przy Hollywood Road i kościół angielski o.o. serwitów przy Fulham Road. Zaczęły się wtedy niedzielne „drinki” po mszy na 12-tą. Jednej niedzieli u nich, drugiej u nas.

Stefa była wspaniałą gospodynią i „drinki” zamieniały się nieraz w jakieś wymyślne mini-przyjęcia.

Obie panie — Stefa i Wanda miały wielkie ambicje kulinarne i starały się jedna przez drugą przygotować jak najbardziej oryginalne, jak Stefa nazywała, „smaczki”.

Te niedzielne spotkania były dla nas cudownym oderwaniem się od ciężkiej, jeszcze w tych czasach, londyńskiej codzienności. Intelkt Adama, erudycja Stefy pozwalały przenieść się na inną płaszczyznę życia emigracyjnego.

Obje Kossowscy stwarzali gościnną, ciepłą i naturalną atmosferę w swym domu, gdzie my, mimo, że nie „literati” czuliśmy się swobodnie i mile widziani.

Naturalnie, nie brakowało gorących dyskusji, w których łagodny Adam przemawiał do Stefy: „ależ, kochanko moja, spójrzmy na to z innej strony”. Powiedzenie to weszło z czasem w rytuał. W ogólnym śmiechu powtarzaliśmy je wszyscy chórem, gdy Stefa czasami zagalopowała się w zażartej dyskusji na „tematy zasadnicze”.

Gdy Kossowscy osiedli już we własnym domu przy Chesilton Road, wizyty stały się rzadsze. Podczas takich wizyt oblewano się hucznie każdy nowy nabytek — a to lodówkę, a to kanapę, a to lampę. Oblewać zawsze było czym, i to nie cieńkuszem.

Gdy i my i oni zaczęliśmy robić wypadki letnie do Europy samochodem — omawialiśmy bez końca nasze wędrowki. Bardzo często okazywało się, że jechaliśmy tą samą trasą, zatrzymywaliśmy się nieraz w tych samych (skromnych!) hotelach.

Nasze opowiadania uzupełniane były wielokrotnie przez Adama wstawkami o tysiącu różnych ciekawostkach, których, ze wstydem przyznawaliśmy, że nie zauważyliśmy. on, jako artysta umiał je znaleźć i należycie ocenić.

Dawaliśmy sobie adresy dobrych noclegów, restauracji. Pamiętam, jak cieszyliśmy się ogromnie, że my i oni uważaliśmy lody w hoteliku na górze w Asyżu za najlepsze w całych Włoszech.

Gdy wałęsanie się po zatłoczonej już Europie zaczynało być zbyt uciążliwe w emerytalnym wieku Kossowscy przyjeżdżali do nas do Hiszpanii, gdzie mieliśmy mieszkanie i spędzaliśmy zwykle dwa letnie miesiące. Przylatywali samolotem na parę ostatnich dni naszego pobytu i zostawali na dłużej. Oboje bardzo kochali tę małą miejscowość, gdzie Stefa rozkoszowała się kąpielą w morzu a Adam malował widoki z balkonu. Byli tam szczęśliwi, że to nie był hotel, że byli razem, że byli sami.

Śmierć Adama przeżyła Stefa bardzo boleśnie, po prostu jej świat się zawalił. Rzuciła się w wir pracy nad wydaniem po angielsku książki o jego twórczości. Był to, właściwie, jedyny bodziec, który trzymał ją przy życiu. Włożyła w tę pracę wiele wysiłku. Gdy dostała pierwszy egzemplarz pięknie wydanej książki zadzwoniła i powiedziała: „Książka wyszła teraz mogę umrzeć”. I ten motyw śmierci pozostał z nią do końca. Jej życie bez Adama, bez pracy nad książką, która łączyła ją z Adamem — skończyło się. Konkretnie — nie widziała już potrzeby życia.

Przygotowała jeszcze pieczołowicie kartony, obrazy, rzeźby i pamiątki po Adamie i przekazała je do Muzeum Archidiecezji Warszawskiej na Solcu w Warszawie.

Jeszcze spotykała się i korespondowała z młodymi naukowcami z kraju, nazywając ich „moi chłopcy”.

Niejednokrotnie znajdowali u niej przytułek, gdy przyjeżdżali do Londynu, radę i mnóstwo potrzebnych im informacji „z pierwszej ręki” o znanych polskich osobistościach ze świata literatury i polityki, zarówno z okresu przedwojennego, wojennego jak i z czasów powojennych w Londynie. Stefa, rzeczywiście była w samym środku tych spraw i czasów.

Stefa była ogromnie uczuciowa i delikatna. Na wiadomość, że siostra moja zmarła w Brompton Hospital, przyszła, wiedząc, że jestem tam z synem siostry, który przyleciał z Ameryki. Nie wiedziałam o tym, bo nie podeszła do nas, choć nas widziała. Powiedziała mi później: „Ja tylko chciałam być blisko was”. Okazała mi wiele serca.

Przez ostatnie lata i Stefie i mnie trudno już było zdobyć się na wzajemne odwiedziny. Spotykaliśmy się więc od czasu do czasu w połowie drogi w kafejce, żeby zobaczyć jak wyglądamy. Natomiast wieczorem odbywałyśmy długie telefoniczne rozmowy, omawiając sprawy małe i wielkie.

Razem patrzyłyśmy na makabrę 11 IX 2001 przylepione do telewizorów ze słuchawką telefonu przy uchu — ona u siebie, ja u siebie. Pamiętam jak w pewnym momencie powiedziała bardzo cicho, że ledwie posłyszałam — „Marysiu, to jest koniec naszego świata — ja już nie chcę żyć”.

Przeżyła jeszcze dwa lata. Sama załatwiła sprawę sprzedaży domu, przeprowadzkę do polskiego domu opieki „Antokol”. Gdy pomagałam jej przy ostatnich czynnościach opuszczania domu i zaproponowałam, żeby już wsiadała do czekającego samochodu, a ja pozamykam wszystko. Spojrzała na mnie dość ostro i powiedziała: „ja mój dom sama zamknę”.

W Antokolu była bardzo szczęśliwa pod serdeczną opieką sióstr Felicjanek.

Pochowaliśmy ją w piękny, jesienny dzień we wspólnym grobie z Adamem na cmentarzu opactwa Karmelitów w Aylesford, tak jak sobie tego życzyła.

Odprowadziła ją garstka jeszcze żyjących najbliższych przyjaciół.